Jerozolima, w styczniu 1944 „GAZETA POLSKA" Egzemplarz bezpłatny

NASZA GAZETKA

DODATEK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

RADA NARODOWA R.P.

W każdym nowoczesnym państwie republikańskim sprawowanie władzy spoczywa w rękach tzech czynników: prezydenta, rządu i ciał ustawodawczych. W Polsce ciała ustawodawcze nazywaliśmy Sejmem i Senatem, w innych zaś krajach najczęściej nazywa się je ogólnie „parlamentem". Zadaniem Sejmu i Senatu było nie tylko uchwalanie ustaw, ale kontrolowanie działalności Rządu. Obie Izby naszego parlamentu miały obowiązek baczenia, czy to, co robi Rząd jest zgodne z interesami Narodu i obowiązującymi ustawami państwowymi. W skład Sejmu wchodzili posłowie, w skład Senatu zaś senatorowie, wybierani w powszechnym głosowaniu przez wszystkich obywateli Państwa. Pochodząc z wyboru, posłowie i senatorowie byli wyrazem woli i opinii całego społeczeństwa.

Po zdradzieckim napadzie niemieckim na Polskę, Prezydent i Rząd schronili się na teren zaprzyjaźnionej Francji i tam rozpoczęli na nowo organizowanie walki przeciw najeźdźcom. Działalność jednak Sejmu i Senatu nie została już wznowiona. W cierpiącej pod terrorem okupantów Polsce, nie można było, niestety, przeprowadzić swobodnych wyborów, by w ten sposób stworzyć nowy Sejm i Senat, któreby współpracowały z Prezydentem i Rządem nad odbudową Państwa Polskiego. Wobec tego Pan Prezydent Raczkiewicz już 30 listopada 1939 roku postanowił stworzyć podobną instytucję w warunkach, na jakie pozwalała przymusowa emigracja.

Tak powstała Rada Narodowa Rzeczypospolitej.

Rada Narodowa składała się początkowo z 24 członków, mianowanych przez Pana Prezydenta, spośród przedstawicieli polskich stronnictw politycznych. Główne zadania członków Rady określił Pan Prezydent w przemówieniu wygłoszonym w czasie pierwszego, uroczystego posiedzenia, które odbyło się 23 stycznia 1940 r. Tak więc do obowiązków Rady Narodowej należy: udzielanie rad i opinij we wszystkich najdonioślejszych poczynaniach Rządu; kontrola działalności Rządu i obradowanie nad budżetem, czyli dochodami i wydatkami państwowymi.

W ciągu toczącej się obecnie wojny zachodzi wiele zmian na całym świecie i wiele napewno zmieni się również w tym czasie w Polsce. W związku z tym Rada Narodowa ma obowiązek przygotowania nowych ustaw, tak, aby po powrocie do Polski w jak najkrótszym czasie zapanował w Kraju spokój i praworządność.

Pierwszym prezesem Rady Narodowej został wybrany najbardziej zasłużony dla Polski człowiek, a mianowicie Ignacy Paderewski. Znany i powszechnie w całym świecie ceniony wielki ten pianista, całe swe życie poświęcił służeniu Sprawie ojczystej. Jeszcze w okresię niewoli własnym kosztem wzniósł pomnik w Krakowie, ku uczczeniu pamięci zwycięstwa polskiego pod Grunwaldem. W czasie poprzedniej wojny światowej organizował Armię Polską i brał udział w konferencji w Wersalu jako przedstawiciel niepodległej już Polski. Po klęsce zaś w roku 1939, choć stary i chory, oddał Polsce wszystkie swe siły. Umarł w Sta-

(Dokończenie na str. 2-giej)

archiwum

ROK 1863

Trzy wydarzenia w ciągu 150 lat niewoli sprawiły, że Naród Polski przetrwał wszystkie prześladowania. Przede wszystkim Konstytucja Trzeciego Maja, która była natchnieniem dla szeregu pokoleń w nieustannej walce z wrogiem. Następnie zaś dwa powstania: listopadowe w roku 1831 i styczniowe w 1863.

Powstania te były nietylko buntem uciśnionego Narodu przeciwko przemocy okupantów, ale dowodem siły i nieśmiertelności Polski, która nie ugięła się, pomimo tylu lat niewoli i cierpień. Przelewając krew w otwartej walce z odwiecznym wrogiem, Polacy dawali znać światu, że Polska istnieje i że **musi być wolna.**

Jeśli w 1918 r. po tylu latach niewoli Polska powstała na nowo, jako niepodległe państwo, to zawdzięczać należy pamięci tamtych krwawych zmagań całego Narodu z lat 1831 i 1863.

W chwili zaś obecnej, gdy znowu popadliśmy w niewolę, wspomnienie walk powstańczych staje się specjalnie dla nas aktualne. Ofiarność bohaterów z powstania styczniowego jest zagrzewającym przykładem i wzorem walki z przemocą. Z wzrorów tych korzystamy w niemałym stopniu teraz na terenie Kraju.

W roku 1863 pod wrogą okupacją działał, na przekór okupantom, Polski Rząd Narodowy. Rząd ten, choć musiał ukrywać się, zyskał sobie uznanie wszystkich Polaków. Wszyscy też spełniali jego rozkazy, płacili podatki i, gdy zaszła potrzeba, oddawali ofiarnie swe życie dla dobra Ojczyzny.

W ciągu dwóch lat bezskutecznie tropili okupaci członków tego Rządu, wiedząc, że z jego schwytaniem łatwiej im przyjdzie uśmierzyć powstanie. W miejsce jednak tych, którzy ginęli, przychodzili nowi, ale działalność Rządu Narodowego trwała nieprzerwanie. Z jego istnieniem trwała również walka. Im więcej beznadziejna, tym bardziej ofiarna.

Tak było do października 1864 roku, kiedy to w ręce rosyjskie wpadł naczelnik powstania i Rządu Narodowego, Romuald Traugutt. Z jego śmiercią bohaterską na stokach cytadeli warszawskiej skończyła się działalność Rządu i wygasło powstanie.

Czasy Powstania Styczniowego żywo przypominają stosunki, jakie panują obecnie w okupowanej Polsce. Tak, jak wtedy działał nieuchwytny dla Rosjan, a mający posłuch w swoim społeczeństwie, Rząd Narodowy, — tak teraz działa tam, w Kraju, Reprezentacja Polityczna pod kierownictwem delegata Rządu Polskiego w Londynie.

W 1863 roku przeciw wrogiej okupacji walczyły oddziały powstańców — dziś zaś, przeciw okupantom walczą karne szeregi Polskiej Organizacji Podziemnej.

Sytuacja nasza jest jednak o tyle lepsza, że mamy w Londynie Prezydenta i Rząd Polski. Ponadto gdy przodkowie nasi walczyli sami przeciw wrogiej okupacji — dziś razem z nami walczą, jako nasi sprzymierzeńcy, inne narody.

To nam daje pewność, że ofiary naszych braci i sióstr w Kraju nie pójdą na marne i że dzień wolności jest bliski.

(Dokończenie ze str. 1-szej)

nach Zjednoczonych 30 czerwca 1941 r. na skutek choroby, której nabawił się w czasie przemówienia do Polaków w Ameryce na rzecz poparcia Armii Polskiej.

Po śmierci jego prezesem Rady Narodowej został obecny premier Stanisław Mikołajczyk.

Kiedy po umowie z Sowietami wielu Polaków zostało zwolnionych, powstała konieczność rozszerzenia grona członków Rady i przyjęcia nowych przedstawicieli. W związku z tym Pan Prezydent rozwiązał dotychczasową Radę Narodową i 3 lutego 1942 powołał nowych jej członków. Obecnie Rada składa się z 31 przedstawicieli życia kulturalnego, gospodarczego i politycznego z całego obszaru Polski.

Prezesem jej wybrany został prof. Stanisław Grabski.

Chociaż zadania Rady Narodowej są stosunkowo szczupłe i wiele różnią się od zadań dawnego Sejmu i Senatu, to jednak już samo jej istnienie nadaje silną podstawę społeczną Rządowi w jego wysiłkach nad odbudową Niepodległej Polski. Rząd Polski, choć od czterech przeszło lat znajduje się poza granicami Polski, związany jest ściśle przez Radę Narodową z całym Narodem Polskim, walczącym w Kraju przeciw najeźdźcy.

archiwum

SAPER MICIŃSKI

Ile lat miał Janek, tego właściwie nikt dobrze nie wiedział. W kompanii saperów figurował z cyfrą 18. Mały major, który przyjmował go do kompanii, gdy z transportu został mu przydzielony, mówił pod nosem coś o dzieciuchach, których gdzie indziej nie chcą. Praca sapera przecież ciężka i dużo sił potrzeba.

Janek był chłop na schwał i słuchając tych słów myślał, że podniesie, jak potrzeba, wszystko. Chciałby tu zostać, bo mówią, że u saperów dobrze, ale nie śmiał się odezwać.

Major tymczasem myślał na głos raczej, niż rozmawiał z nowo przybyłym rekrutem. W saperach muszą być chłopy mocne i dojrzałe. Tu nie tylko siła potrzebna, ale i rozsądek. Saper ma do czynienia i z miną i z materiałem wybuchowym. Saper bardzo często pracuje sam, a tu przysyłają mu takiego dzieciucha, co mu to jeszcze szkoła się patrzy.

„Bo ty właściwie to na pewno nie masz 18 lat" odezwał się wreszcie głośno. Szef, starszy sierżant Michalik, który stał obok, pokiwał z powątpiewaniem głową.

Janek stał zmartwiony. Rzeczywiście nie wyglądał na 18 lat. Coś było w jego twarzy, ruchach, chociaż był mocny i szeroki w barach, co wskazywało, że to jeszcze prawdziwe dziecko.

„To pójdziesz do drugiego plutonu. Tam pan porucznik Nowak samych takich, jak ty zbiera".

Janek poszedł do drugiego plutonu. Jakiś czas potem przyszło z Brygady, że strzelec Miciński ma lat 17 i że należy ustalić, ile ma lat właściwie . Stary major zgniewał się, że piszą o Micińskim „strzelec", bo u niego on „saper". I na tym zostało, jakkolwiek szef przypominał, że Miciński, to nawet na 17 lat nie wygląda. Porucznik Nowak za to, sam młody, bo zaledwie po dwudziestce, bardzo sobie Micińskiego chwalił. Mówił, że jak będzie źle, odda go w opiekę staremu kapralowi Szaflowi, który ma serce dla smarkaczów.

Tymczasem Brygada poszła na front. Gdy w Marsa Matruh wykańczano pośpiesznie fortyfikacje, pokazało się, że „mały Miciński"; jak go wszyscy nazywali, miał rękę do min. Zawsze mu to dobrze i sprawnie szło. Rozumiał, że z minami trzeba ostrożnie. Potem Tobruk. Wszyscy zdążyli zapomnieć, że Miciński jest „mały". Wszędzie trzeba saperów. I w nocy dla kładzenia min przed pierwszą linią. I w dzień dla prac na stanowiskach drugiej linii, i na lotnisku, i przy zakładaniu pułapek, i na patrolach, gdzie trzeba nocą otwierać przejścia dla piechoty w nieprzyjacielskich polach minowych. Pokazało się, że Miciński ma wzrok, jak kot. Że widzi w nocy tak samo prawie, jak w dzień. Że ma bardzo mocne nerwy.

Poszli nasi na Medauar, gdzie do niemieckich okopów było w niektórych miejscach i 150 metrów, gdzie w dzień i nosa nie można wystawić. Wojna zaczynała się tam w nocy między rowami. Tam niemal co nocy był Miciński. Wszyscy koledzy w plutonie lubili chodzić z Micińskim, który miny wszystkie znał na pamięć, nie tracił głowy i nigdy nic nie mówił.

Porucznik Nowak w rozmowie z majorem raz powiedział: „Trzeba awansować Micińskiego". Major jednak był tego dnia

archiwum

markotny. Właśnie wrócił z dowództwa fortecy, gdzie znowu żądano od niego saperów do prac na innym odcinku, a tu swoim ledwo można z robotą nadążyć, więc obruszył się: „Co, tego smarkacza? Pan wie, on nawet 16 lat nie ma. Mówił mi dzisiaj dziadzio (tak nazywano oficera, który prowadził ewidencję w Brygadzie), że ja mam najmłodszego żołnierza w całym Wojsku Polskim na Wschodzie. I to Miciński. Więc pan chce, by starszy saper miał niecałych 16 lat? Nie można i dosyć o tym. A zresztą awansów nie ma".

Chodził Miciński na patrole i na kładzenie min. Nauczył się nowej roboty. Rozbrajania pułapek nieprzyjacielskich. Była to może najniebezpieczniejsza robota. Jeden nieprawidłowy ruch, a mina skacze w górę i wybucha w powietrzu, drąc wszystko na strzępy wokoło. Niemal co noc chodził teraz na patrole z piechotą, która lubiła tego dzieciucha, jak go między sobą nazywali. Znał wszystkie pola minowe i orientował się na przedpolu doskonale.

Tymczasem nasi robili ofensywę. Z daleka było słychać odgłosy bitew o oswobodzenie fortecy. Raz przed wieczorem porucznik Nowak wrócił od majora zdenerwowany. Zwołał drużynowych i coś z nimi mówił. Bratek, który miał u siebie Micińskiego, zwołał znowu swoich i podzielił na trzy patrole po trzech i wyjaśnił im zadanie. Jeden patrol weźmie torpedę dla wysadzania drutów, drugi pójdzie z piechotą do pól minowych nieprzyjacielskich, w których zrobi przejście, a trzeci zostanie przy własnych polach. Micińskiego przeznaczono do drugiego patrolu. Nie był z tego zadowolony. Chciało mu się iść do drutów, ale nikt się „Małego" nie pytał i tak zostało.

Wypad miał zbadać siły nieprzyjacielskie i przekonać się, czy wobec naszej ofensywy nie ma on zamiaru się wycofać.

Żołnierze ciemną nocą bez szmeru wyszli ze stanowisk. Miciński doszedł razem z drużynowym Bratkiem do pol minowych nieprzyjaciela. Tam razem z jeszcze jednym saperem prędko usunęli miny. Piechota przeszła, a z nią saperzy z torpedą.

Zostali sami. W głuchej nocy słyszeli żołnierze bicie własnych serc. Micińskiego coś rwało do przodu, a Bratek, który leżał tuż obok, wyczuwał nastrój „Małego" i objął go ramieniem przez plecy.

Powoli wlokły się chwile i ciężyły coraz bardziej trzem saperom, leżącym na ziemi bez ruchu i wpijającym wzrok w ciemność.

Nagle na prawym skrzydle odezwał się karabin maszynowy, za nim drugi, trzeci. Rakiety poszły w górę i cała linia ożywiła się.

„Czy zorientowali się, czy strzelają tak sobie, dla dodania sobie odwagi?

W parę chwil ogień osłabł i wreszcie ostatni karabin zatrajkotał jakoś tak sennie. Znowu ciemność kompletna.

Nagle snop płomienia tuż na wprost przed nimi. Karabiny maszynowe szaleją, ale przez huk wystrzałów przebijają głuche wybuchy granatów. „Wskoczyli do stanowisk niemiec-

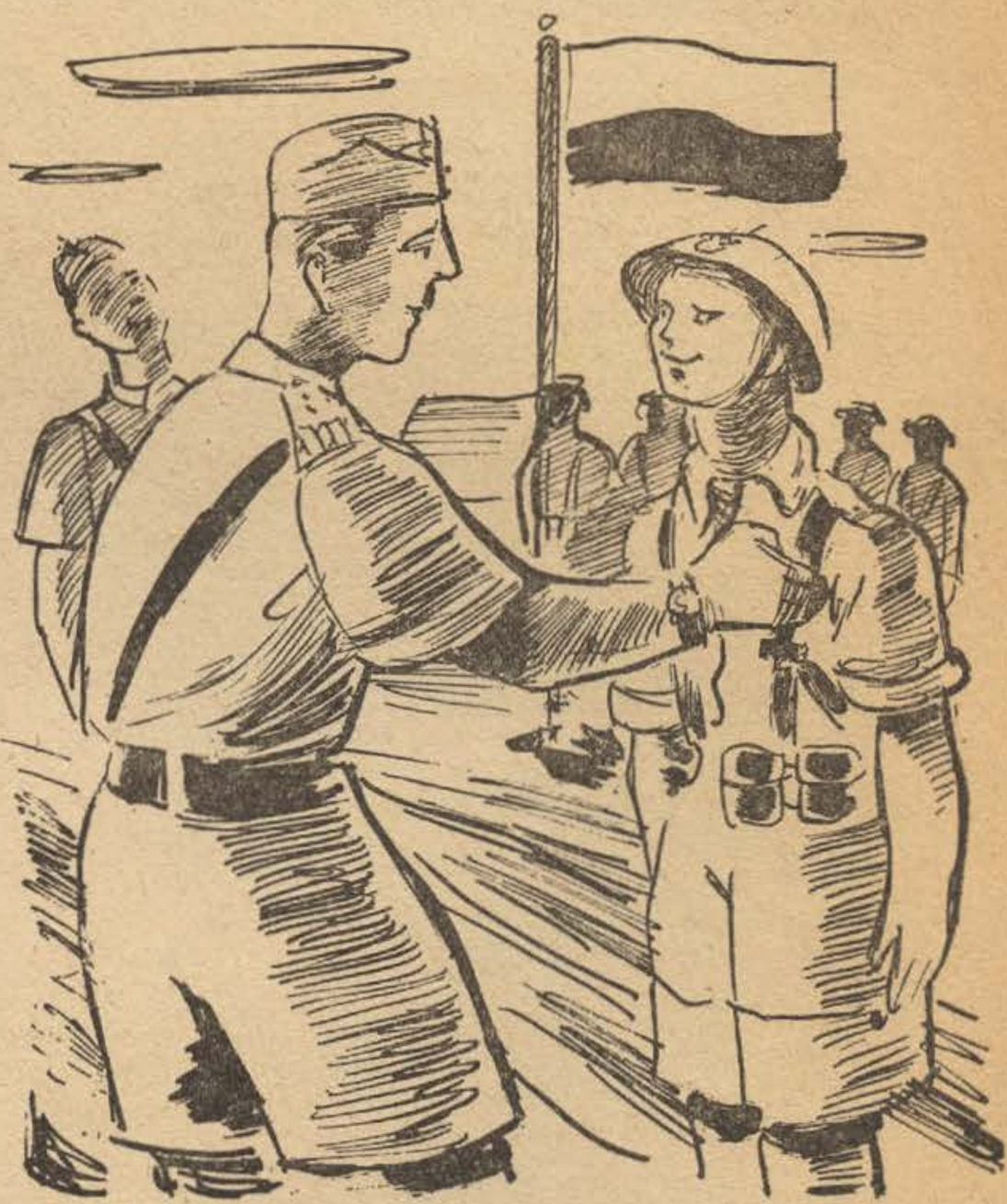

kich" — krzyknął Bratek. Nagle na horyzoncie, z tyłu, szereg błysków. Za nimi nowe i ciągle nowe, aż wreszcie zlewaja się w ciagłą łunę. Za chwilę świszczą pociski artyleryjskie. A potem przeciągly huk wystrzałów, które mają przesłonić wycofanie się swoich. Ziemia trzęsie się od wybuchu granatów i dym wierci w nozdrzach.

Ile to trwało, tego nikt powiedzieć nie może, chwile lub godziny. „Mały" rozwartymi oczami szeroko chłonie i czar i grozę bitwy nocnej.

Wypad się udał, ale byli ranni. Wszystkich przyniesiono. Jeden jednak saper zapę-

archiwum

dził się tak, że stracono go z oczu i, gdy potem trzeba się było cofnąć, nie wrócił z innymi. Nie wiadomo, czy żyje, czy może gdzie ranny leży. Bratek decyduje się szybko. „Mały" i ja pójdziemy po niego, a ty zostaniesz na miejscu! —zwrócił się do trzeciego sapera. Na przedpolu rozszalało piekło. Artyleria nieprzyjaciela kładzie ognie zaporowe. Doczołgali się do drutów. „Małego" coś uderzyło w twarz, ale nie czuł nic. Przeszli przez wyrwę i skręcili w prawo wzdłuż zagłębienia. Ozwał się cichy jęk. „Popatrz mu w twarz, czy to nasz" „To Witek", szepnął Janek.

Dowódca Brygady był bardzo wzruszony, gdy przypinał Krzyż Walecznych „Małemu". Stary major mówił później „dziadziowi": „Panie kapitanie, to niemożliwe, by on miał tylko 16 lat, on ma przynajmniej 19. Przecież Witek waży z 80 kilo, a on czołgał się z nim chyba kilometr. A sam przecież oberwał w twarz. Na to trzeba sił. Ja panu przyślę wniosek na starszego sapera".

kmz.

RUDYARD KIPLING

(tłum. Helena Niemirowska)

Ziemio Ojczysta, przyjm dziecięcy ślub:
„Miłością, pracą, służyć ci po grób,
A gdy wyrośniem w niewiasty i męże
W potrzebie każde za Ciebie polęże.

„Ojcze nasz, któryś jest nad nami w Niebie,
Wspomóc racz dzieci, co wzywają Ciebie,
Spraw, by budować zdołał z rodu w ród
Niepokalane dziedzictwo nasz trud.

Naucz nas znosić w prawdzie i miłości
Jarzmo posłuchu, przystojne młodości,
Byśmy wysłużyć mogli Prawdy Cud,
Co z Łaski Twojej żywi każdy lud.

Naucz nas władać sobą każdej chwili,
Czystość zachować pozwól zawdy nam,
Byśmy Ojczyźnie w potrzebie służyli
Ofiarą z duszy i ciała bez plam.

Naucz nas patrzeć w każdym życia kroku
Prawd Twoich, Ojcze, nie — przyjaciół wzroku,
By nas nie zwrócił z drogi Twoich łask,
Ni poklask tłumu, ani jego wrzask.

Darz nas siłami, ale nie zwól Panie,
By słabszy od nas płakał kiedy na nie,
Spraw, aby męska naszej duszy moc
Bratniej niedoli rozjaśniła noc.

Naucz nas rzeczy prostych miłowania,
Radości czystej bez goryczy skaz,
Wszelakiej krzywdy ucz nas przebaczania,
I spraw, by każdy człek miał brata w nas.

Ziemio rodzinna, Dumo nasza, Wiaro!
Krwi naszych Ojców rodzajna ofiarą,
O Ziemio — Matko, składamy ci ślub:
Myśl, dłonie, serca — Twoje aż po grób".

archiwum

OBRAZY ZIMOWE DAWNEJ POLSKI.

Napad dzików na wieś w górach.

Śnieg był tak wielki, że dziki nie mogły się dostać do żeru w lesie, więc zgłodniałe spuściły się wielkim stadem do wsi. Słychać było zrazu straszliwe ujadanie psów, które w miarę tego cichło, jak się dziki zbliżały. Bo dziki wycięły wszystkie psy po drodze, nie tylko psy, ale i trzodę chlewną; gdzie ją tylko poczuły w obejściu, rozburzyły chlewy w okamgnieniu i pożarły trzodę. O obronie nie można tu było myśleć. Jeden odgłos dzwonów zdawał się na chwilę zatrzymywać stado naprzeciwko dworu. Rzeczywiście zwróciły się dziki przed obejściem dworskim w bok, przeszły rzekę, a gdy z plebanii był już do rzeki ślad przetorowany, wpadły na dziedziniec plebanii całym stadem tym szlakiem i obległy w dziedzińcu, znalazłszy tu w kopcach przeszło dwieście korcy ziemniaków. Kopce te znikły w jednym mgnieniu oka. Ludzie w plebanii uciekli na strychy i dachy. Przez cały dzień rozlegały się głosy wołające ratunku, a dziki, rozłożywszy się na nawozach i gumnie, leżały sobie spokojnie w **barłogu** [1]). We dworze miałem tylko dwie dubeltówki, ale co tu dwie strzelby pomogą, na taki najazd całego stada dzików? Było wprawdzie kilkunastu gajowych i leśnych, ale tych oddzieliły śniegi ode wsi, zresztą nie miałem żadnego wyobrażenia o tym, jakby w myśliwski sposób można zaradzić w takim razie.

Sołtys powiedział mi, że jeżeli kilka kóp **okłotów** [2]) dam na to, to może uda się nocą odpędzić dziki ode wsi. — Ale mądrze trzeba się, panie, wziąć do tego, bo u księdza było tylko dwieście korców ziemniaków w kopcach, a u nas jest przeszło trzy tysiące korców w gumnie, a jak niemądrze ruszymy dziki, to się na nas puszczą, i gorzelnia stanie i **niedołożone** [3]) woły pognamy na targ.

Teraz dopiero ujrzałem całe niebezpieczeństwo położenia mego, bo nie byłbym pomyślał nawet o tym, że to był właściwie najazd dzików na ziemniaki, w których już na późnej jesieni wielkie robiły szkody.

Z plebanii nie trudno będzie ruszyć dziki, bo już tam oporządziły wszystko, więc i same tej nocy ruszą, ale cała sztuka, żeby dziki odwrócić na działy, a nie dopuścić tej najezdni napowrót do wsi. Wypada też tak zrobić, że ja z gromadą zastąpię im od dworu i rzeki, i oprzem się aż o dzwonnicę, a pan z innymi ludźmi ruszysz dziki z miejsca. Przed wieczorem zbiorą się ludzie we dworze, a oto toporniki już idą, to złagodzim tyki.

Tuż na ogrodzie dworskim stały tyki chmielowe w piramidy ułożone: rozebraliśmy jedną, a wybierając co najtęższe i najgładsze tyki, przyrządzali je naprędce topornicy.

W kierunku przez sołtysa wyznaczonym, od dworskich ogrodów w poprzek rzeki ku dzwonnicy wyrobiono szlak wołami, wszakże w sposób takowy, że się z żadnym innym szlakiem nie łączył. Na tym szlaku co kroków osiem albo dziesięć kazał sołtys przygotować

po dwa okłoty, a oprócz tego kilka kóp mierzwiastej słomy przed szlakiem. Na tej robocie upłynął prawie cały dzień. Kilka kagańców podróżnych było we dworze, więc robiono przez cały dzień gałki żywiczne, ale nietylko gałki, bo krajano nawet stare wory, maczano je w żywicy i przywiązywano, jak chorągiewki na końcu tyk.

Pod wieczór zeszła się prawie cała gro-

archiwum

sobów patrzenia na świat i potem przedstawienia tego świata czytelnikowi, przeszło bezimiennie do jego następców, stając się myślami i spostrzeżeniami wszystkich, czyli własnością ogółu?

Więc pisarza w Kraszewskim czcimy, a przede wszystkim człowieka niezmordowanej, mrówczej pracy.

Kwiecień 1940 roku usunął wreszcie śnieg ze Lwowa. Ostatki brudno-szare, gąbczaste z czarnymi smugami przewieszone przez kraty kanałów, wpadały w głąb, uchodząc przed zwycięskim słońcem. Nastał szereg dni tak niebieskich i pogodnych, że przypominały niedawny, rozpaczliwy wrzesień.

Tego dnia Rysia, najstarsza z całej tróki rodzeństwa wróciła wcześnie ze szkoły. Właściwie powiedzenie „wróciła wcześnie", jest niebardzo właściwe, jeżeli ktoś idzie na 9-tą a przed 10-tą jest już w domu z powrotem. Więc, jakby w ogóle w szkole nie był.

Rysia miała do powiedzenia niesłychanie ważną nowinę. Powiedziała ją też swym wyraźnym, spokojnym głosem dobrej uczennicy. Stała na środku pokoju, nieco zaróżowiona na smagłej buzi, błyskając czarnymi oczyma — różniąca się zupełnie od swego biało-złoto-niebieskiego rodzeństwa — i wyrecytowała: „Dzisiaj nie ma nauki, bo wszystkie mateczki i siostrzyczki wyjechały wielkim autem. Pani z trzeciej klasy powiedziała, żebyśmy zaraz wracały do domu". Jedynie małe przyśpieszenie wypowiadanych zdań — i to szczególnie na końcu i berecik zapomniany na czarnej główce, berecik z połyskującą emaliowaną szkolną odznaką, świadczyły o tym, że Rysia była przejęta mocno, tym, co mówi.

Nowina wywarła w domu wielkie wrażenie, — najmniejsze na 7-mio letniej siostrzyczce i 6-cio letnim braciszku Rysi. Ten, można powiedzieć, w ogóle nie przyjął jej do wiadomości, natomiast zaczął uganiać za biało-czarnym kotkiem, Wałkiem, plącząc się wszystkim pod nogami. W końcu strapiona matka wyprawiła całą trójkę na spacer pod opieką młodziutkiej sąsiadki. Poszli wszyscy przez słoneczną, cichą ulicę do góry (we Lwowie nie trudno iść do góry) — coraz wyżej, aż wreszcie wydostali się poza t. zw. Kwiatkówkę.

Na gliniastych zboczach było bardzo ciepło i spokojnie, drzewa i krzaki nie ośmieliły się wprawdzie jeszcze wypuścić pączków i stały ciemne i nagie, ale już drżał niedosłyszalny pęd soków wiosennych w ich roślinnych żyłach. Śnieg, jeśli nawet gdzie był, — to przyczaił się w północnych kotlinkach, wśród zarośli Pohulanki, trzymał się zacienionych, wpadłych w ziemię strumieni, — tu zaś, na Kwiatkówce, panowało gorące słońce, grunt był obeschnięty, prawie sypki, a zeszłoroczna, zrudziała trawka starała się właśnie o nowe listki.

Nic nigdzie nie rosło, tylko całe zbocze aż po kraj kotlinki zasypane było kwiatkami podbiału. Gorąco-złote, bez żadnych listków, rozwarte, wszystkie wpatrywały się, jak małe słoneczka z wdzięcznością w wielkie słońce.

Wkrótce dzieci nazrywały ich tyle, że zasypały nimi sukienkę swej opiekunki. Panienka, spojrzawszy na króciutkie ogonki kwiatuszków i nawet na ich główki same (które pochodziły od Janusia), postanowiła uwić z nich trzy wianeczki. Dokładnie i spo-

archiwum

kojnie wzięła się do roboty, nie zezwalając już na dalsze znoszenie kwiatków.

Dzieci tymczasem wzięły się za ręce i popatrzyły na rozpostarty przed nimi Lwów. Z tej odległości, w wiosennym słońcu wyglądał, tak, jak zawsze, od lat. Rysia zaczęła objaśniać, zresztą wcale niezgodnie z rzeczywistością. Umiała tylko dobrze powiedzieć, która to wieża Sakramentek, bo znała ten najbliższy kościół. Katedrę i ratusz pomieszała na pewno — Dominikańską kopułę zbyła szybko, o wieży Wołoskiej w ogóle nic nie wiedziała, za to od razu powitały dzieci znajomy Wysoki Zamek z kopcem, który zamykał na niebieskim niebie dumny i harmonijny obraz miasta.

Tymczasem wianuszki były już gotowe. Z wielką powagą i ostrożnością niosły je dzieci na swych głowinach, wracając do domu. I w domu wywołały one zachwyt. Ale już po kilku minutach zdjęte wianuszki zapomniano — kwiatki zamknęły się i zwiędły.

Januś dopadł Wałka i dźwignął go z satysfakcją głową na dół, za tylne nóżki. Wałek, który przez całe swoje życie nigdy ostrzejszym miauknięciem nie protestował przeciw najbardziej wyszukanym „pieszczotom“ dzieci, znowu użył swej kociej drogi. Cichutko czekał aż małe łapki, ściskające go kurczowo, otworzą się przez zapomnienie — wtedy wymknął się łagodnie i zniknął na tak krótką chwilę, jakiej potrzeba, aby dziecko zapomniało.

Nad ranem, Wałek, jak zwykle, wrócił przez okno, z polowania. Kocie jego serduszko wiedziało już jednak wszystko — ściśnięte tajemniczym bólem od kilku godzin. Obszedł puste kąty mieszkania, rzeczy w nieładzie, wyskoczył na rozesłane dziecinne łóżeczka, z których już ciepło dawno uleciało, oglądnął swą pustą miseczkę. Wiedział, że już nigdy małe paluszki nie wgłębią się w jego sierść, że już nikt nie zawoła go serdecznie lub z radością, że nikt nie da mu mleka na miseczkę. Nie miauczał, po chwili odszedł stamtąd na zawsze, aby wieść zupełnie inne życie dzikiego, czy raczej zdziczałego kota.

A dzieci? Dzieci zabrały z rodzinnego miasta ten właśnie ostatni jego widok spokojny, pozdrawiający je łagodnie w niebieskim powietrzu wiosennego dnia. To tylko miało im pozostać na dalsze długie i ciężkie lata.

sz.

LEGEŻYŃSKI STEFAN

Kocham, więc nienawidzę

Żegnała synów swych matka siwa,
prosta kobieta — Marja płacząca.
Szare oczy zranionego ptaka,
stare ręce bez siły-trzęsąca.

I grodzili piersiami granice —
Jeden padł, rozwścieczony a dumny,
na gruzach krzyżowanej stolicy,
krzycząc „Polski nie zakują w trumny“ !

Drugi padł na węgierskiej granicy,
darł się do polskiej Armii z rozpaczą,
„Wolna, albo niech Jej moje oczy,
nigdy więcej — w hańbie — nie zobaczą“ !

Trzeci w obozie, nie chciał giąć czoła,
czwarty z bombą — rozbili kolumnę,
piąty z mrozu, w łachach, prawie goły.
Tak ginęli chłopcy — duchy dumne.

Lecz tysiące, siedem gór, siedem rzek,
wiele mórz, Europę wzdłuż, wpoprzek,
przeszli. Dotarli do Polskiej Armii,
w Szkocji, w Syrii — zbrojne hufce zwarli.

Kochać mocniej nie można — goręcej.
Nienawidzieć też nie można więcej,
Za tych braci co padli po świecie,
dziś plugawą krwią swą odpowiecie!

No, a gdy poszli pod Narwikiem,
każdy z chłopców niby szatan się wściekł.
No a kiedy poszli pod Tobrukiem,
„Matko — czy słyszysz — za bracim ich siekł!

Wielki dzień przyjdzie, błogosławiony,
zawiśniesz matko w syna ramionach,
Perły radości — wróci wyśniony.
Wróci — wolność niosąc Ci na dłoniach !

archiwum

ANATOL KRAKOWIECKI

RYSZARD MAŁE LWIE SERCE

(Ciąg dalszy. — Odcinek czwarty).

Pomysł był znakomity, tylko jak go wykonać? Zadanie zdawało się być ponad siły Ryszarda. Przeżegnał się i gorącą, żarliwą prośbę wysłał do Boga o pomoc. Zacisnął bezradne ręce i drżał z emocji. Tak dalece był przejęty sytuacją, że w oczach jego stanęły łzy. I w ten sposób sformułował sobie swój pomysł:

— Chyba puszczę go na razie kantem, tego wściekłego bandytę szwaba. Muszę szukać ludzi, którzy by mi pomogli potem w jego odnalezieniu. Sam nie dam sobie rady.

ROZDZIAŁ DRUGI

O jakieś trzysta metrów od Ryszarda, zaledwie o trzysta metrów, była jego obrona, jego odsiecz. Ale on o tym nie wiedział. Zaledwie o trzysta metrów od Ryśka znajdowało sie kilkunastu ludzi, którzy w tej chwili rozmawiali spokojnie, nie wiedząc, również, iż tak blisko czai się niebezpieczeństwo.

— Za jakąś godzinę wystartuje pan z powrotem, panie poruczniku. Nie ma w tej chwili czasu na dłuższe debaty. Meldunek pański dostarczę według adresu, a tutaj proszę, oto koperta, którą pan odwiezie tam, dokąd pan poleci.

— Tak jest, panie majorze!

Rozmowa ta była prowadzona w tonie przyciszonym. A odbywała się w lokalu co najmniej niezwykłym. Mianowicie łąka stromą krawędzią opadała nad rzeczkę. Wzniesiony przy tej krawędzi i oparty o nią był szałas, czy też coś w rodzaju ziemianki. I w tej ziemiance odbywała się rozmowa, której samo tylko zakończenie usłyszeliśmy.

— Wkrótce padł rozkaz:

— Natychmiast wyruszy patrol na przeszukanie okolicy. Mechanicy zbadają maszynę. Za godzinę ma być gotowa do startu.

Kilku ludzi wyszło z ziemianki i wspięło się po stromym brzegu rzeczki. Noc była coraz gęstsza, chociaż niebo było pogodne i gwiazdy świeciły cicho, spokojnie i uroczo nad krajem tak bardzo nieszczęśliwym, poranionym i zbombardowanym. W mdłej poświacie gwiazd, widać było czerniejącą kępę na środku błonia. Był to samolot.

Z jednej strony ku tej czerniejącej kępie szło kilku ludzi, to znaczy patrol. Z drugiej strony posuwał się szybko mały i nikły cień. To nasz mały Ryszard. Zbliżali się nawzajem ku sobie, nie widząc się, albowiem kryły ich przed sobą kontury samolotu.

Rysiek starał się podtrzymać wątlejące swoje siły. Policzki jego były gorejące, wargi spieczone i spękane, przed oczyma latały ciemne plamy. Nogi uginały się pod nim, ręce rozgarniały powietrze, jakby chciały szukać w nim oparcia. Ryszard, który od wczesnego ranka dzisiejszego nie miał w ustach ani kruszynki chleba, nie czuł w tej chwili głodu. Nie czuł już nic. Parł naprzód, jak automat. Sam do siebie mówił półgłosem jakieś dziwne rozkazy:

archiwum

— Ryszard! Masz iść! Tu są gdzieś ludzie. Muszą tu być ludzie, jeśli wylądował tutaj samolot. A ci ludzie, to są nasi, to są Polacy. Sam nie dam rady temu działowi. Już go zresztą nie widzę, już nawet nie wiem, gdzie jest. Zniknął mi sprzed oczu. Wszystko mi niknie sprzed oczu. Boże, daj siły! Daj, Boże, pomoc w nieszczęściu! Niech ktoś tego psubrata odnajdzie. Spraw, Panie Boże, żeby ktoś się zjawił.

W tej chwili w ciszę nocną padł przyciszony okrzyk:

— Stój! Kto idzie? Ręce do góry!

— Polacy! — wyszeptał Rysiek.

Siły opuściły Ryszarda zupełnie. Chciał podnieść ręce do góry, ale zachwiał się i upadł. Zdawało mu się, że świat okręcił się dookoła niego i że runie mu na głowę. Jak przez sen słyszał czyjś głos:

— To dziecko, to chłopak! Ależ on umiera.

Tyle siły woli było w tym młodym chłopcu, tyle potęgi duchowej, że Ryszard zdołał jednak wyrzucić z siebie te słowa:

— Uważajcie! Niemiec tu jest niedaleko. Spadochrony! Ratujcie samolot! Ratujcie siebie! Zabijcie go!

Zasypano go pytaniami, ale nie słyszał tych pytań, omdlenie odjęło mu słuch, sparaliżowało świadomość i pogrążyło w nicości. Nie czuł, nie wiedział, że niesiony jest na rękach ku ziemiance. Nie czuł, nie wiedział, że wszystko, co żyło, stanęło na nogi. Jak długo to trwało? Któż da na to odpowiedź? Ale wreszcie przez mgły, otaczając jego świadomość, przez znużenie zwolna ustępujące usłyszał słowa:

— Brawo, mój mały! Jesteś dzielnym chłopakiem. Baliśmy się, że umarłeś, ale Bóg dał, żeś powrócił do życia...

Pochylał się nad nim człowiek w mundurze.

— Ja nie chciałbym, panie generale... — wyszeptał Rysiek.

Człowiek w mundurze zaśmiał się w rozczuleniu:

— Nie jestem generałem, to jest obojętne. Za to ty jesteś małym bohaterem. Jak ci na imię?

— Ry...szard — wybąknął.

— Ryszard, Ryszard! A więc zwać się powinniśmy: Ryszard małe Lwie Serce. Albowiem istotnie lwie serduszko w tobie mieszka.

Rysiek rozważał każde słowo, które usłyszał. Z trudem słowa te docierały do jego świadomości. Powtarzał sobie szeptem każde słowo, które usłyszał, i dopiero wtedy zrozumiał, co mówił do niego człowiek w mundurze.

— Ależ ja nic, ja nic... Ja przecież nic nie zrobiłem...

Znowu to jego powiedzenie spotkało się z rozrzewnionym uśmiechem. Patrzyły na niego siwe oczy, pełne współczucia i czułości. Człowiek w mundurze mówił dalej:

— Na razie nie mów nic, dopóki ci nie wrócą siły. Nic nie wolno ci gadać. A to wyjęliśmy ci z za pazuchy...

W ręku człowieka w mundurze ukazał się jakiś instrument, czy też jakaś broń. Oszołomiony Ryszard zapytał mimo woli:

— Co to jest?

— To właśnie jest to, co ty miałeś za pazuchą. Jak ci wrócą siły, opowiesz mi jak doszedłeś do tego, skąd się to wzięło w twoim posiadaniu i co z tym zamierzałeś zrobić.

— Ale co to jest?

— Więc nawet nie wiesz, co to jest? Skąd to wziąłeś?

— Zdobyłem, panie generale.

Szczery, głośny śmiech powitał jego słowa.

— Nie jestem generałem, powtarzam ci,

archiwum

Najbardziej Pożyteczne Zwierze Domowe

Zosia przyszła wcześniej ze szkoły. Patrzy, czy obiad gotów, czy też będzie miała może trochę czasu, to napisze zadanie. — „Jeszcze nie córeczko" — mówi mama od primusa — „jeszcze zupa się dogotuje, usmażę placuszki..." „no to ja mogę pisać zadanie?" „A możesz, możesz..."

Primus szumi, mama krząta się przy nim a Zosia siada na swoim miejscu pod oknem, rozkłada zeszyt na stoliku:

„Zadanie domowe".

„Napisz, jakie jest najpożyteczniejsze zwierzę domowe w tutejszych krajach".

Hm... tutejsze zwierzęta domowe i jaki jest z nich pożytek... Zosia myśli, patrzy na kartkę papieru, którą trzeba zapisać, primus śpiewa swoją piosenkę, mama wyszła gdzieś na chwilę, a Zosia bierze pióro i już pisze:

„Jest w tym kraju wiele pożytecznych zwierząt domowych. Pożyteczny jest mały osiołek, który cierpliwie dźwiga ciężary, jarzyny i owoce na targ, który i dużego człowieka nosi na swoim grzbiecie prędziutko przebierając kopytkami i pracuje od świtu do zmierzchu, znosi upał w lecie, a zimno zimą.

Pożyteczny jest ogromny wielbłąd z wygiętą szyją i garbatym grzbietem. On może odrazu tyle udźwignąć, co sześć osiołków razem i dlatego ładują na niego wielkie ciężary: drzewo, kamienie, a że jest wytrzymały i rzadko miewa pragnienie, więc odbywa dalekie podróże. I koza jest pożyteczna, ta tutejsza koza z kłapciastymi uszami i długą sierścią, jest pożyteczna, bo daje mleko (którego ja *bardzo* nielubię). ser i sierść, a z tej sierści można zrobić derkę albo gruby materiał na płaszcz. Puszysta owca jest jeszcze pożyteczniejsza: daje także mleko, ser, mięso, a wełna jej jest lepsza, miększa i cieplejsza.

Ale najpożyteczniejszym ze wszystkich zwierząt tutaj jest *primus*. Jest on prawie w każdym domu, tak w mieście, jak i w najmniejszych osiedlach, a daje człowiekowi co dnia jego pożywienie. Jest wszędzie — mają go bogaci i biedacy, w kuchniach wielkich hoteli i w małych lepiankach arabskich usłyszymy jego obecność. Jemu zawdzięczamy gorącą, wonną kawę arabską i gotowane mleczko, kto zmarznięty, rozgrzewa się naprędce herbatą dzięki niemu, a i w izbie, gdzie on się pali jest cieplej i wiele tutejszych rodzin w zimie przy nim się rozgrzewa. I liczne rodziny i osoby samotne korzystają z jego usług, i kobiety, i mężczyźni, i dzieci. Jest dla wszystkich. A gdy odzywa się ze swojego kąta, możemy być pewni, że posiłek nas czeka. Wszystko można z jego pomocą przyrządzić: nie tylko herbatę i parówki z musztardą, ale i pieczeń, torty, placki, ba, bułki i pierniki, pączki i chrusty, konfitury i nawet... cukierki. Cóżby tu ludzie robili bez primusa, nawet nie można sobie tego kraju wyobrazić bez niego.

Primus jest nieduży, ma trzy nożki, pękaty brzuszek i płaską głowę, otoczoną czymś w rodzaju aureoli. Na aureolę zasługuje z pewnością za swoje usługi. Szyjkę ma długą, otoczoną półkolistym kołnierzykiem. Koloru bywa żółtego lub srebrzystego — jak miedź czy nikiel — i jest gładziutki, szczególnie na brzuszku. Żywi się naftą i spirytusem do palenia, ale znacznie więcej zjada nafty. Trzeba dbać o niego, trzeba go żywić dostatecznie i czyścić, bo może zachorować, a wtedy staje się nawet niebezpieczny. Przy pracy wydaje głos podobny do warczenia rozgniewanego psa, gdy odpoczywa, milknie. Jest i taki rodzaj primusów, które i przy pracy nie warczą, mruczą tylko bardzo cichutko, jak rozespany kotek. Niektórzy ludzie, zwłaszcza ci, co teraz zostali sami na uchodźctwie przywiązują się bardzo do primusa, lubią słuchać jego szumnej piosenki, której wtóruje syk i bełkot gotującego się garnka, i mówią, że im się tak lepiej myśli. Wydaje im się, że są mniej samotni, gdy pracowite stworzonko gada do nich po swojemu ze swego kąta pokoju".

„Podoba mi się twoje zadanie, córeczko" — powiedziała mama pochylona nad zeszytem

archiwum

Zosi — żeby się tylko pani w szkole podobało. A teraz już obiad gotów, chodź jeść, zgasimy primus. A powiedz mi, kochaneczko, pomyślałaś ty kiedyś, jak to naprawdę jest z tym „najpożyteczniejszym zwierzęciem", — jak to się dzieje, że primus się pali?

„Nie, — powiedziała Zosia, troszkę zawstydzona — „ale bardzo bym teraz chciała wiedzieć".

A więc widzisz, do tego brzuszka, do zbiornika, nalewamy czego?"

„Nafty"

„Tak, bez nafty primus nie będzie się palił. Potem zaś co robimy, chcąc go rozpalić?"

„Zaświecamy zapałkę..." próbowała Zosia, ale bez przekonania.

Nie, potem trzeba nalać spirytusu na tę miseczkę, na ten kołnierzyk okrągły, gdy spirytus dopala się, pompujesz kilka razy tłokiem umieszczonym z boku, spirytus gaśnie, a wtedy primus już pracuje i pali się jego główka, czyli palnik. Otóż, przypatrz się dobrze, przez sam środek szyjki przebiega rureczka tak wąska, że ledwie włosek w nią się zmieści"...

„Ja wiem, tu się przekłuwa igłą do primusa"...

„Tak. Rureczka ta sięga prawie dna zbiornika. Gdy poruszasz tłokiem, powietrze wchodzi primusowi do brzuczka, ale że ma tu mało miejsca i chce się wydobyć, więc naciska na powierzchnię nafty, a wtedy maluteńkie drobinki tej nafty wpychają się do rureczki i prą ku górze. W swej drodze natrafiają na rozgrzaną spirytusem szyjkę i wtedy nafta pod wpływem gorąca zamienia się tu w ciało lotne, w gaz, który bardzo szybko się pali. I rzeczywiście, w palniku gazu wciąż przybywa i pali się on bezustannie, jak długo nie zgasimy primusa, czyli nie wypuścimy powietrza."

„A czemu primus warczy?"

„Gwałtowne spalanie się gazu, czyli wybuchy tego gazu, które przecie powtarzają się przez cały czas pracy maszynki, powodują ten głos".

„Dobrze mamusiu, a czemu primus pani Banikowej nie warczy?"

„Widziałaś ty jego główkę? Jest w takim czepeczku z siatki, prawda? Otóż ta siatka rozbija gaz na tyle malutkich cząsteczek, ile sama ma oczek, wybuchów jest więc znaczne więcej wprawdzie, niż u nas — gdzie mamy tylko osiem płomieni — ale są one za to znacznie słabsze i nie dają huku, tylko cichutki szmer."

„Już wszystko rozumiem, mamusiu, ale ja się *trochę* właściwie wciąż tego primusa boję. Czy primus rzeczywiście może być niebezpieczny?

„Widzisz, córeczko, teraz to się najmądrzej zapytałaś. Primus to jest takie zwierzę, które jest zawsze *dla dzieci* niebezpieczne, dla dorosłych zaś nie. Dlatego, póki nie będziesz większa i póki ci mama nie pozwoli, nie ruszaj tego zwierzątka z pękatym brzuszkiem i pozwól, niech dorośli posługują się jego pożyteczną pracą."

(Z. Sz. P.)

JANINA PORAZIŃSKA

A... B... C...

Hej-ha! jestem dziś wesoły,
Bo do polskiej idę szkoły.
Będę czytał A...B...C...
Chcę wolności, Polski chcę!

Nie przeraża mnie trud wcale,
Choć wiem o nim doskonale.
Będę pisał A...B...C...
Chcę wolności, Polski chcę!

Boże dobry, Boże miły
Dodaj chęci, dodaj siły,
Bym szeroko rozwarł serce,
Brał iskierkę po iskierce.
To najpierwsze A..., B... C...
Chcę wolności, Polski chcę!

archiwum

J. KRÓLIKOWSKA

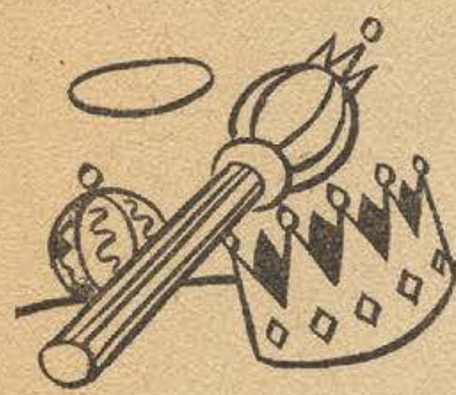

O MAŁYM KRÓLU Fejsalu

W pałacu mieszkał mały król,
Fejsalem króla zwano...
Jego iracki piękny kraj
Szeroko w świecie znano.

Z Iraku był arabski koń,
Z Iraku kawa czarna,
Arabska guma, piękny wzór,
Iracka nafta sławna.

Choć skarbów wiele Fejsal miał,
Nie stroił się we złoto
On mądrym królem zostać chciał,
Więc uczył się z ochotą.

Raz się dowiedział mały król,
Że wojna jest na świecie,
I wróg okrutny wygnał precz
Z ojczyzny polskie dzieci.

A więc Polakom w kraju swym
Serdeczną dał gościnę —
I pośród dzieci polskich król
Z dobroci swej zasłynął.

Idzie w Bagdadzie junak Stach
Ulicą Al — Raszyda.
W krąg barwny tłum — meczety tam,
Tam rzekę Tygrys widać.

I Arabowie w strojach swych
Najdziwaczniejszych w świecie.
A oto Fejsal, mały król
Z psem wielkim na portrecie.

Idzie ulicą junak Stach,
Wtem tłum się rozstępuje —
Nadjeżdża Fejsal, mały król,
Więc Stach mu salutuje.

archiwum

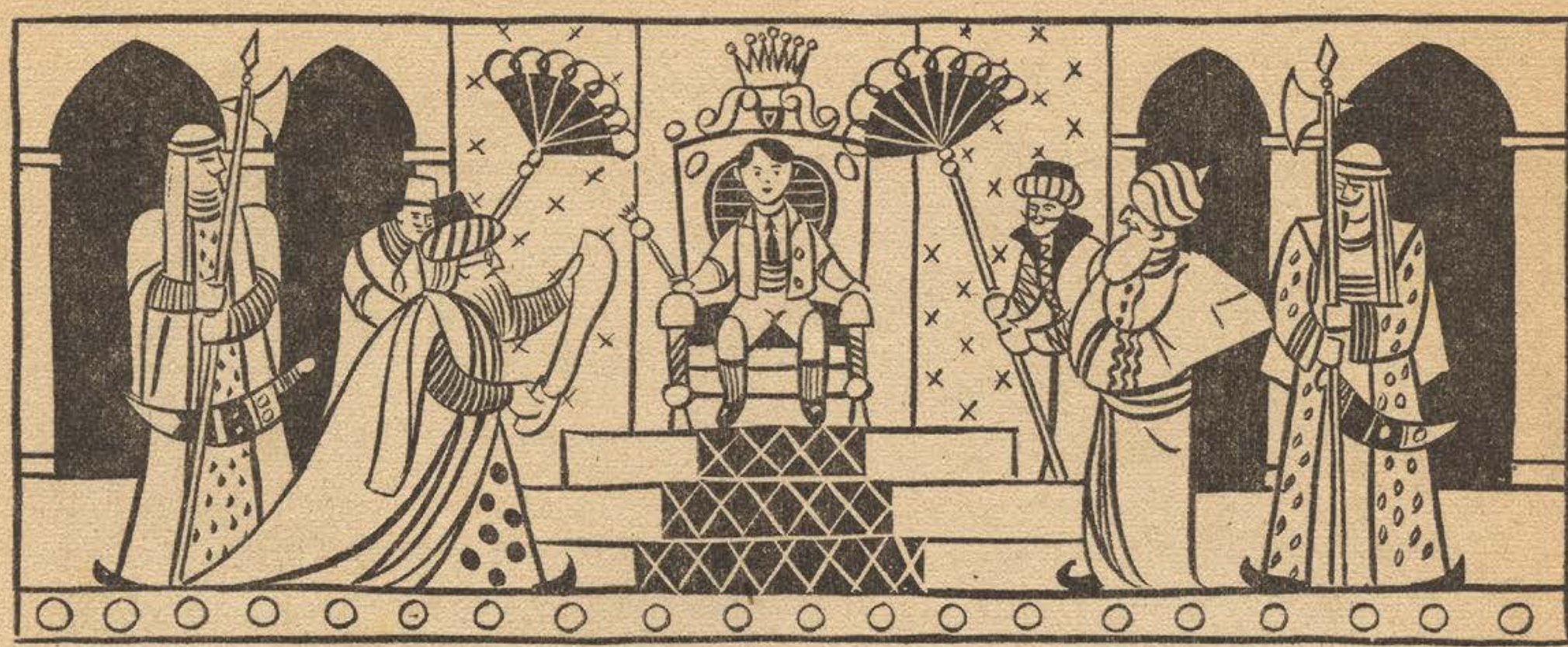

Odsalutował mały król,
Spogląda przez okienko,
Do Stacha głośno śmieje się,
Przyjaźnie kiwa ręką.

A Stach pomyślał — kiedy już
Do Polski powrócimy,
Fejsala do Warszawy swej
W gościnę poprosimy.

NASZE SPRAWY NA ŚWIECIE

JUNACY W ANGLII

Przynosimy wam dobrą nowinę: Junacy ze Środkowego Wschodu dojechali szczęśliwie do Anglii. Jest ich ponad 300 chłopców. Wielu z nich to pewno wasi koledzy, towarzysze waszych smutnych i ciężkich tułaczek wojennych.

Teraz na ziemi angielskiej Junakom dobrze się dzieje. Zostali przydzieleni do Polskiej Szkoły Małoletnich Lotnictwa i uczyć się w niej będą jak zostać mechanikiem lotnictwa i jak zostać lotnikiem. Powiem wam tylko, jakich przedmiotów będą się uczyli, a już będziecie wiedzieć, jaka to poważna szkoła i zupełnie jak dla dorosłych. Więc naprzykład, będą mieli wykłady z: mechaniki, techniki, radiotelegrafii, uzbrojenia, łączności, o częściach samolotu, i wiele, wiele innych, a wszystko takie trudne, że tylko chłopcy to zrozumieć potrafią, ale chyba mało która dziewczyna na świecie. Do tego wszystkiego, część wykładów będzie po polsku, ale część po angielsku, bo polska szkoła znajduje się na angielskiej stacji lotniczej i jest jakby częścią angielskiej szkoły wojskowej.

Junacy palą się już do nauki i tylko pytają, kiedy jakie wykłady się zaczynają, kiedy dostaną podręczniki angielskie. Ale najwięcej to ich interesują samoloty. Jak tylko jakiś przelatuje nad lotniskiem, to chłopaki zaraz muszą wiedzieć, jak się ten nazywa, czy to „Liberator“ czy „Latająca Forteca“. Pytają o to swoich polskich i angielskich kolegów, takich najprawdziwszych lotników, co to nocami latają bombardować Niemcy. Wścibskie są nasze chłopaki okropnie i wszędzie ich pełno, ale mimo to angielscy dowódcy bardzo ich chwalą, bo Junacy są niezwykle karni i zdyscyplinowani i swoje obowiązki i naukę biorą bardzo poważnie.

Przyjechał Junaków odwiedzić nawet sam Naczelny Wódz, Generał Sosnkowski. Niezwykle serdecznie do nich przemawiał i ściskał po ojcowsku, aż się chłopaki popłakały, a jeden z chłopców, Stefan Pietrusewicz z Wilna, tak do Pana Generała powiedział: „Panie Generale! W imieniu swoich rówieśników mam złożyć krótki meldunek: było nas tam wielu, wydostała się garstka, przypłynęła cząstka. Z głębi swego młodzieńczego serca ślubujemy, że będziemy spełniać wszystkie nałożone na nas obowiązki, abyśmy mogli w przyszłości wiernie i z poświęceniem pracować dla dobra ukochanej Polski.“ *(mp).*

archiwum

Fatma opiekuje się kanarkami

I

W domu Fatmy nad oknami były klatki z kanarkami. Cztery klatki — w każdej parka — pan lubował się w kanarkach.

III

Kanarki znów lubią latać, tylko, że przeszkadza krata. Nie wiedząc, że je tym zgubi, że to pytać się nie lubi, by być opiekunek wzorem — drzwi klatek stawia otworem.

II

Fatma także lubi ptaszki, więc prócz wody, listków, kaszki, chce prawdziwie im dogodzić, i... ustawia je w ogrodzie.

IV

Patrzcie! Wszystkie już na drzewach, każdy inną piosnkę śpiewa. Został tylko jeden w klatce. Nie, nie słaby, ani stary, tylko... nie znosił swej pary.

A co dalej było z Fatmą, sami odgadniecie łatwo.

archiwum

ZAGADKI

UWAGA ZNAWCY HISTORII!

Łamigłówka historyczna

• X •	dawna nazwa ucznia
• • X • •	Złoty pieniądz
• X •	miasto na Podolu, znane z konfederacji w nim założonej
• • X • •	tak na obczyźnie nazywamy człowieka, pochodzącego z tego samego kraju
• • • X • • •	nazwa kościoła na Wawelu
• • • X • • •	dzwon, zawieszony w katedrze na Wawelu
• • X • •	broń używana przez Kozaków
• X •	August II Mocny z rodu?
• • X • •	co nastąpi po wojnie?
• • • X • • •	drzewo, z którego budowano ongiś dworki
• • X • •	do miasta wiodła...?
• • X • •	jeździć na koniu bez siodła, czyli?
• • X • •	nazwa ziem leżacych przy granicy
• • • X • • •	imię zasłużonej królowej polskiej
• • X • •	nazwa członka sejmu
• • X • •	ptak używany do polowania
• • • • X • • • •	pole zwycięskiej bitwy za czasów powstania Kościuszki

Litery oznaczone znakiem X, — czytane z góry na dół, dają nazwę wielkiej fundacji królowej Jadwigi.

Łamigłówka sylabowa. Z podanych sylab złożyć wyrazy, których pierwsze litery, czytane z góry na dół, utworzą nazwę rzeki polskiej.

Sylaby: Ew, i, e, ga, cho, gła, no, mu, ra, ka, ły, no.

1) Część ciała, 2) Przyrząd do szycia, 3) Imię żeńskie zdrobniałe, 4) Odmiana osłów, 5) Odgłos, 6) Mieszkanie zwierząt ziemnych.

archiwum

KLUB DZIECI POLSKICH

W Londynie, na cichej, bocznej uliczce, jest niewielki domek, który został oddany dzieciom i młodzieży polskiej. W Anglii i w Szkocji nie ma tak dużo dzieci polskich, jak na przykład w Indiach, czy w Afryce, ale w każdym razie z tego domku, który nazywa się „Ognisko Młodzieży", korzysta spora grupa dzieci i młodzieży. W ciągu roku szkolnego domek ten jest cichy i spokojny i prawie nikt tam nie przychodzi, ale jak się zaczynają wakacje — zapełnia się odrazu. Na parterze domku, w dużej sali, która przedtem była garażem, jest świetlica, a na górze kilka małych pokoi.

W ciągu roku szkolnego wszystkie dzieci są w szkołach angielskich albo szkockich, albo polskich, bo są tu w Szkocji dwie szkoły polskie, jedna dla chłopców, a druga dla dziewcząt. Za to na wakacje wiele dzieci przyjeżdża do Londynu, bo w Londynie mieszkają i pracują ich rodzice lub opiekunowie. Podczas kiedy rodzice w ciągu dnia pracują, dzieci chodzą do tego „Ogniska Młodzieży" i dopiero wieczorem wracają do domu.

Dzieci z „Ogniska Młodzieży" dzielą się na trzy grupy. Najmłodsze dzieci mają swój pokój na górze i albo bawią się różnymi zabawkami, albo chodzą na spacery, albo uczą się pisania i czytania po polsku, gramatyki i historii polskiej. Średnie dzieci zwykle się bawią w dużej świetlicy, a poza tym także się uczą historii polskiej, geografii, języka polskiego i różnych innych rzeczy, których się nie uczą w szkołach angielskich. Najstarsza grupa młodzieży założyła sobie w jednym z pokoi na górze prawdziwy Klub, jak dla dorosłych i nawet zaczęła wydawać pisemko.

W czasie letnich wakacji dla wszystkich dzieci urządzony był obóz harcerski nad morzem.

ROZWIĄZANIA ZAGADEK z numeru grudniowego „Naszej Gazetki" nadesłali:

Barbara Kiełczyńska, Orawiec H., Duduk Halina IIgimn., A. Ceytlin, Sawicka Maria, Panfic Wanda, Likowska M., Bielawska Edyta, Gorczyńska Danuta, Nowakowska Danuta, Sypkówna M.

Prosimy Was, kochane Dzieci, o nadsyłanie zagadek, szarad i krzyżówek, z wyjątkiem rysunkowych rebusów, pod adresem „Gazety Polskiej" Jerozolima, Hassolel 9.

THE JERUSALEM PRESS LTD.